

A. Grobler

O POZYCJI UZ W RANKINGU SZKÓŁ WYŻSZYCH

W ostatnim rankingu *Rzeczpospolitej i Perspektyw* Uniwersytet Zielonogórski przesunął się z miejsca 72 i 63 w poprzednich latach na 61. To niby niewiele, jednak biorąc pod uwagę metodologię rankingu, jest to objaw bardzo pocieszający. Na ocenę rankingową składa się bowiem bardzo wiele ocen cząstkowych o bardzo różnej doniosłości i jeszcze bardziej zróżnicowanym stopniu obiektywizmu. Do najbardziej obiektywnych składników tej oceny należy pozycja „potencjał naukowy” według wskaźników stosowanych przez Komitet Badań Naukowych. UZ uzyskał tutaj 73 pkt., co daje mu 32-35 lokatę w tej kategorii. Pod względem potencjału naukowego UZ wyprzedza 9-tą w rankingu Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego i 11-ty w rankingu Uniwersytet Medyczny w Łodzi oraz dorównuje m.in. Uniwersytetowi im. M. Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Potencjałem naukowym górujemy nie tylko – jak w ocenie globalnej – nad Uniwersytetem Rzeszowskim, ale również sklasyfikowanymi przed nami Uniwersytetami: Opolskim, Szczecińskim, Białostockim, im. Kardynała S. Wyszyńskiego w Warszawie, Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Podobną pozycję daje nam ocena pod względem nasycenia kadry o najwyższych kwalifikacjach i tylko odrobinę niższą oceną dostępności dla studentów wysoko kwalifikowanej kadry.

Do oceny ostatecznej wchodzi jednak tylko 10% oceny potencjału naukowego, 3% oceny nasycenia kadry i 10% oceny dostępności kadry, łącznie 23%. Natomiast aż 50% oceny rankingowej zależy od prestiżu ustalonego na podstawie ankiet skierowanych do wybranych pracodawców i profesorów. I właśnie w tej kategorii uzyskaliśmy najniższe oceny. Nic w tym dziwnego. Pytanie ankietowe, które sam otrzymałem, brzmiało mniej więcej tak (dosłownego brzmienia nie pamiętam): „Którą uczelnię polecilibyś własnemu dziecku, gdyby chciało studiować Twoją dyscyplinę?”. Można było wymienić trzy uczelnie. Bardzo wątpię, czy moi koledzy z innych ośrodków, nawet ci, którzy może nieco przesadnie, ale bynajmniej nie całkiem bezpodstawnie uważają zielonogórską filozofię za najlepszą w Polsce, daliby UZ pierwszeństwo przed UJ, UW i własną uczelnią. Na rynku opinii liczy się bowiem nie poziom naukowy kadry i jakość kształcenia, ale prestiż ośrodka akademickiego i atrakcyjność samego miasta. Krótko mówiąc, ankietowa ocena prestiżu jest całkowicie oderwana od rzeczywistej wielkości parametrów, które na zdrowy rozum powinny ten prestiż budować. Ze swej natury utrwała ona dotychczasowe obiegi oceny, tym bardziej, że ankietowani najczęściej nie znają ocen zbieranych przez KBN i na ogół opierają się na stereotypach.

Te zresztą skądinąd krzywdzące oceny mają tylko umiarkowany wpływ na pozycję UZ w rankingu. Podobnie niski prestiż mają uniwersytety w Białymstoku, Opolu, Rzeszowie, Szczecinie i UKSW w Warszawie. Z uniwersytetów o niższym od naszego potencjale naukowym wyraźnie tracimy na prestiżu w stosunku do UWM w Olsztynie (co mnie dziwi). Zdecydowanie pod

względem prestiżu ustępujemy równemu nam potencjałem naukowym UMCS w Lublinie (18-te miejsce w rankingu). Powstaje zatem pytanie, co decyduje o tym, że nasza ogólna lokata w rankingu jest prawie dwukrotnie niższa od pozycji ustalonej na podstawie oficjalnych, troskliwie kontrolowanych danych Komitetu Badań Naukowych.

Największe rozbieżności ocen wykryłem w kategorii „moc naukowa”, zdefiniowana jako stosunek liczby stopni naukowych uzyskanych w poprzednim roku przez pracowników uczelni do liczby pracowników ogółem. Ten wskaźnik jest dość przypadkowy. Na stopień pracuje się latami. Liczba ukończonych w danym roku przewodów na stopień podlega znacznym fluktuacjom, jej wpływ na ocenę poziomu naukowego instytucji jest niewielki i jest on (w cyklu czteroletnim) uwzględniany w ocenie potencjału naukowego. Że jest to wskaźnik dość przypadkowy widać z braku korelacji między nim a podobnymi – potencjałem naukowym, nasyceniem kadry osobami o najwyższych kwalifikacjach i dostępnością dla studentów kadr wysoko kwalifikowanych – które są ze sobą wzajemnie silnie skorelowane.

W tej kategorii tracimy bardzo wyraźnie w stosunku do konkurencji: widać ostatni rok był chudszy w promocie od poprzednich na tyle tłustych, że przyczyniły się do stosunkowo wysokiej oceny naszego potencjału. Mocą naukową ustępujemy dwukrotnie sklasyfikowanej tuż za nami Akademii Bydgoskiej, której potencjał naukowy jest od naszego o jedną trzecią niższy. Dwukrotnie górują nad nami mocą uniwersytety w Białymstoku i Szczecinie, choć ich potencjał naukowy jest niższy o 10%, zaś UWM w Olsztynie przebija nas aż 3,5-krotnie! Ze zbliżonych do nas lub równych nam potencjałem naukowym UMCS w Lublinie został oceniony jako 5-krotnie, a UKWS w Warszawie prawie 7-krotnie „mocniejszy”. Ten dość przypadkowy wskaźnik stanowi aż 10% ostatecznej oceny.

W stosunku do Uniwersytetu w Białymstoku i UKSW w Warszawie tracimy dużo punktów za „wielokulturowość środowiska akademickiego” mierzona liczbą studentów obcokrajowców. Ten wskaźnik jednak nie jest bardzo istotny, stanowi tylko 1% oceny. Przed nami w rankingu są dwie uczelnie, które nam ustępują i „mocą naukową” i potencjałem: Politechnika Lubelska i Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusku (57 i 60 miejsce). Pierwsza bije nas prestiżem u pracodawców (z Lublina bliżej do Warszawy niż z Zielonej Góry), 25% oceny, druga nasyceniem kadry o najwyższych kwalifikacjach (mało łatwiej nasycić), 3%, dostępnością dla studentów kadry, 10%, i rozpiętością oferty kształcenia, 4,5%.

Z powyższego przeglądu rankingu wydaje się płynąć wniosek, że – biorąc pod uwagę parametry decydujące o poziomie naukowym uczelni – zasługujemy na wyższą pozycję na rynku edukacyjnym niż ją mamy. Żeby ją osiągnąć, trzeba sięgnąć po pozycję jeszcze wyższą, czyli

rozwijać się. W niektórych instytutach UZ obecne nasycenie wysoko kwalifikowaną kadrami jest na tyle wysokie, że gwarantuje dalszy rozwój przez samo kształcenie doktorantów. Generalnie jednak trzeba kontynuować politykę byłej Politechniki i byłej WSP w Zielonej Górze, która doprowadziła do powstania Uniwersytetu: politykę przyciągania do Zielonej Góry wysoko kwalifikowanej kadry naukowej.

Gdy chodzi o wybór innych kierunków polityki, porównanie może być porównanie z najwyższą sklasyfikowanym uniwersytetem o głównych parametrach zbliżonych do naszych, UMCS w Lublinie (18 miejsce). UZ ma taki sam, jak UMCS, potencjał naukowy, prawie takie samo nasycenie kadrami o najwyższych kwalifikacjach, zbliżoną dostępność dla studentów wysoko kwalifikowanej kadry, dostępność uczelni dla studentów zamiejscowych, możliwości rozwijania zainteresowań naukowych i kulturalnych. Ustępujemy UMCS ubiegłoroczną „mocą naukową”, ale również prestiżem, doborem jakościowym w rekrutacji, rozpiętością oferty kształcenia, zasobami bibliotecznymi. „Moc” (10% oceny), jak już napisałem, jest wielkością sezonową i środki trwałego jej powiększania są bardzo ograniczone. O prestiż (50%

oceny) możemy zabiegać odpowiednią propagandą i dalszym rozwojem naukowym, choć na radykalną poprawę tego wskaźnika nie ma co liczyć: dotychczasowi liderzy są skazani na przodownictwo. Dbając o wizerunek uniwersytetu mamy jednak szansę na wzrost liczby kandydatów na studia, co poprawi dobór jakościowy w rekrutacji (2,5% oceny). Wzrost rozpiętości oferty kształcenia (4,5% oceny) jest celem nieco trudniejszym do osiągnięcia: wymaga kosztownego zwiększenia liczby uczestników studiów doktoranckich. Budowa zasobów bibliotecznych (2% oceny) jest zadaniem na lata. Z drugiej strony, rozwój elektronicznych technik czytelniczych może w ciągu kilku lat zniwelować obecne różnice dostępności do literatury między starymi a młodymi uniwersytetami. W każdym razie wejście UZ do trzeciej-czwartej dziesiątki rankingu i osiągnięcie środkowej pozycji w kategorii uniwersytetów wydaje się celem najzupełniej realnym i osiągalnym w bliskiej perspektywie czasowej. Idzie o to, żeby nie zasypiać gruszek w popiele.

Adam Grobler
Profesor w Instytucie Filozofii UZ

K t o p o d c i n a g a ł ą ż ...

W O B R O N I E D Z I E N N I K A R Z Y!

W ostatnich doniesieniach prasowych dziennikarze wszystkich zielonogórskich redakcji bardzo ubolewają nad obniżkami pensji uniwersyteckich naukowców i w kategoriach sensacji donoszą o długach uczelni (czyżby to było karalne?). Wydaje się więc, że należy im się rewanz. Bo kto napisze o obniżkach pensji dziennikarzy? Okazuje się, że oni sami jakoś nie mają odwagi. Czyżby nie był to temat na pierwszą stronę? Czy nie jest to skandal, którym powinni się wszyscy zająć? Uważny obserwator (telewidz, radiosłuchacz i czytelnik) może zauważyć pewną prawidłowość. Od kilku lat najbardziej znani dziennikarze (profesjonaliści, z wieloletnim stażem) odchodzą z redakcji, obejmując różne stanowiska, najczęściej rzeczników prasowych. Dlaczego odchodzą z mediów? Dlatego, że polityka kadrowa, płacowa, i co gorsza, informacyjna redakcji zmienia się w ogromnym tempie. Profesjonalny dziennikarz jest odpowiedzialny za każde opublikowane przez siebie słowo. Osobiście zbiera informacje i pięć razy sprawdzi fakty zanim odda tekst wydawcy. Niestety taka procedura jest czasochłonna i więcej kosztuje. A tendencja wszędzie jest taka sama (jak we wszystkich firmach) – ograniczyć koszty. „Starzy” dziennikarze (etatowi) najpierw z niepokojem odbierają coraz mniejsze pensje za coraz dłuższą pracę. Oczywiście, jeżeli w ogóle dostają te pensje w terminie. Są redakcje, które mają tak duże problemy finansowe, że pracownicy czekają na zarobione przez siebie pieniądze i po trzy miesiące. Potem z coraz większym niepokojem obserwują dyspozycje szefów co do materiałów, które mają przygotować (nic tak nie ożywia wiadomości jak trup). Następnie już otwarcie się boją, bo w redakcji pojawiają się „meteory”, czyli młodzi, którzy zrobią wszystko za małe pieniądze. I prostą koleją rzeczy jest

już albo otrzymanie wypowiedzenia, albo jeżeli dziennikarz znajdzie sobie „coś”, to z podniesionym czołem sam odchodzi. Albo zakłada firmę producencką. Taka praktyka jest na porządku dziennym w redakcjach, chociaż wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że jest to wyzysk taniej siły roboczej. Niestety, rynek pracy w zielonogórskich mediach kurczy się i dla wielu, własna firma to jedyna możliwość zatrudnienia. Z czegoś przecież muszą żyć, a etatów nie ma.

Redakcje nie są wolne od problemów finansowych. Bo gdyby były, to przecież szefowie nie pozwoliliby sobie na zastępowanie żurnalistów z wieloletnim stażem przez studentów i praktykantów, dla których poczucie odpowiedzialności jest tylko pustym słowem. Z góry można przewidzieć rozwój kariery tych stażystów. Zanim taki młody dziennikarz nauczy się odróżniać doktora od doktora habilitowanego to już nie pracuje, a tematami związanymi np. z uczelnią, zajmuje się następny młody, zdolny. Dotychczas żaden nie zdążył sobie przyswoić wiedzy o różnicy między profesorem zwyczajnym a profesorem nadzwyczajnym. Najważniejsze, że pracuje albo za darmo (bo się uczy), albo za np. 1/3 sumy, którą trzeba zapłacić etatowemu dziennikarzowi. Poza tym taki młody nie ma oporów, żeby podpisać własnym nazwiskiem każdy materiał. Musi się przecież zasłużyć. Może podpisać z nim umowę, chociaż zlecenie?

No cóż, nikt z dziennikarzy do tej pory nie zdecydował się na publiczną spowiedź innemu dziennikarzowi. Cokolwiek dzieje się w redakcji, nie wychodzi to poza redakcyjny pokój. I dobrze, bo kto podcina gałąź na której siedzi? Dziennikarze nie są idiotami. Mimo wszystko jest to ich miejsce pracy.

esa